

RAFAŁ DROZDOWSKI

POLSKA – W POŁOWIE DROGI MIĘDZY PIERWSZYM A DRUGIM SKOKIEM MODERNIZACYJNYM

I. UWAGI WSTĘPNE

Dwudziesta rocznica rozpoczęcia transformacji systemowej rodzi pokusę podsumowań i dokonania bilansu, który zestawiałby ze sobą wszystkie najważniejsze społeczne koszty i wszystkie najważniejsze zyski społeczeństwa, jakie przyniosły ze sobą zapoczątkowane w 1989 r. zmiany ustrojowe. Mimo tej oczywistej pokusy, nie chcę w tym artykule spoglądać wstecz. Wolę raczej uczynić przedmiotem swoich rozważań rysujące się przed naszym krajem perspektywy i dopytywać się o możliwe scenariusze dla Polski, o ich prawdopodobieństwo oraz o ich różnorodne uwarunkowania.

Podstawową tezę niniejszego artykułu można sformułować następująco: społeczeństwo (i państwo) polskie osiągnęło już dwa swoje cele strategiczne (zależeliśmy się w NATO i w Unii Europejskiej), jednakże nie została jeszcze przesądzona kwestia naszego statusu w obu tych strukturach (i w całym zglobalizowanym świecie¹). Odwołując się do terminologii Immanuela Wallersteina: równie prawdopodobne wydaje się dzisiaj, że jako kraj na trwałe zadomowimy się w grupie *państw półperyferyjnych*, jak i to, że – mimo wszystko – wyrwiemy się z tego kręgu, dołączając do grona liderów tworzących *rdzeń* globalnego ładu (oczywiście nie jako światowy, czy choćby regionalny „rozgrywający”, lecz jedynie – a może aż – jako aktor, który aktywnie uczestniczy we wszystkich najważniejszych grach globalnych w roli ich podmiotu, a nie przedmiotu).

Jeśli rzeczywiście Polska, mimo że dołączyła do grona krajów łączących gospodarkę rynkową z demokracją liberalną, nadal jest zawieszona pomiędzy Wallersteińską *centralnością* a *półperyferyjnością*, to jednym z ważniejszych zadań refleksji socjologicznej na temat polskiej współczesności powinno być dążenie do udzielenia możliwie rzetelnej i precyzyjnej odpowiedzi na pytania: 1) co dzisiaj zwiększa nasze szanse na zadomowienie się w grupie *państw rdzeniowych*?, 2) co nas w dalszym ciągu wiktła w *półperyferyjność*, co nas ku niej spycha i co sprawia, że tak trudno jest nam się z niej wydostać?

¹ Więcej na temat niebezpieczeństwa jedynie *połowicznej obecności* Polski w politycznych, gospodarczych i militarnych strukturach jednoczącej się Europy oraz na temat szeregu antynomii nowego kształtującego się na naszych oczach europejskiego porządku, zob. np. R. Drozdowski, *Europa siedmiu prędkości*, w: *Europa w nowych granicach czy Europa bez granic?*, red. Z. Drozdowicz, Wydawnictwo Fundacji Humaniora, Poznań 2004, s. 63-77.

Oczywiście, odpowiedzi na tak sformułowane pytania mogą być bardzo różne. Po pierwsze dlatego, że socjologia dzisiejsza nie jest zgodna, czy i w jakim stopniu polska transformacja powinna być transformacją imitacyjną. Ci spośród polskich socjologów, którzy byli i są zdania, że na załamanie się realnego socjalizmu nie należało odpowiadać programem kopiowania „realnego kapitalizmu”, lecz programem podążania trzecią drogą, stwierdzą zapewne, że dyskusowanie o szansach zrównania się z bogatym Zachodem w ogóle nie ma sensu, gdyż nie chodzi o to, aby ten model systemowy doganiać, lecz o to, by stworzyć dlań alternatywę². Po drugie dlatego, że w rozmowie o szansach i zagrożeniach Polski związanych z wyzbywaniem się statusu kraju półperyferyjnego różni socjologowie kłaść będą akcent na różne czynniki, za pomocą których można – ich zdaniem – owe szanse i zagrożenia wyjaśnić i uzasadnić.

Ja sam chciałbym tu – być może nieco ułatwiając sobie zadanie – skupić się wyłącznie na barierach utrudniających dziś naszemu krajowi znalezienie się w „klubie państw” zaliczanych do światowej czołówki. Poza tym chciałbym ograniczyć się tylko do tych kwestii, za które – jak się wydaje – bardziej odpowiedzialne jest społeczeństwo niż szeroko rozumiany system³.

I jeszcze jedna uwaga wstępna. Formułowane przeze mnie w niniejszym artykule stwierdzenia mieć będą w znakomitej większości charakter hipotez, bądź – w najlepszym razie – charakter hipotez udokumentowanych empirycznie. Zdaję sobie sprawę, że ich ostrość, a z drugiej strony fakt, że niekiedy zostały one sformułowane na dość wysokim poziomie ogólności, może budzić rozmaite wątpliwości lub wręcz sprzeciw. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko tyle, że eseistyczny ton, jaki zdecydowałem się nadać temu tekstowi, wynika przede wszystkim z chęci potraktowania go jako wyrazistego i może nawet nieco zaczepnie brzmiącego głosu w socjologicznej dyskusji na temat współczesnego społeczeństwa polskiego. Poza tym zależało mi również, aby – sygnalizując pewne jeszcze stosunkowo rzadko eksplorowane na gruncie socjologii polskiej wątki i problemy badawcze – raczej prowokować do kolejnych pytań, niż stawiać kropkę nad „i”.

² Więcej o argumentach mających przemawiać za rezygnacją ze „strategii doganiania” – zob. np. A. W. Nowak, „Przyszłość nie jest już tym, czym była kiedyś”. Przedmowa, w: I. Wallerstein, *Utopistyka. Alternatywy historyczne dla XXI wieku*, Seria Teorie Oporu, Oficyna Bractwa Trojka, Poznań 2008, s. 5-27.

³ Oczywiście świadomość tego, że proste przypisywanie odpowiedzialności bądź to (wyłącznie lub raczej) „społeczeństwu”, bądź to (wyłącznie lub raczej) „systemowi”, może się wydać niedobrym i zupełnie nieuprawnionym metodologicznie pomysłem. Wiadomo bowiem, że praktyki społeczne i rozwiązania/reguły instytucjonalne współwarunkują się i że wchodzi one ze sobą w rozmaite skomplikowane interakcje itd. Mimo wszystko skłonny jestem dążyć w niniejszym artykule do wyraźnego rozgraniczenia: 1) czynników endogennych, związanych z samym społeczeństwem i z dynamiką jego „dziania się” i 2) czynników mniej lub bardziej zewnętrznych wobec społeczeństwa (przede wszystkim jego ram prawno-instytucjonalnych). Po pierwsze dlatego, że transformacja ram prawno-instytucjonalnych miała w Polsce (podobnie jak w innych państwach byłego bloku wschodniego) w znacznym stopniu charakter odgórny. Po drugie, ponieważ jako socjolog będę bronił założenia, że społeczeństwo odznacza się przynajmniej względną autonomią i że – w związku z tym – za to, co się dzieje z nim (i w nim), odpowiada w największym stopniu ono samo.

II. KRYZYS IDEI WSPÓLNEGO DOBRA

Myślę, że mało kto byłby dziś skłonny polemizować ze stwierdzeniem, iż w Polsce mamy do czynienia (i to od lat) z procesem stopniowego demontażu idei wspólnego dobra. Tak jak zapowiedziałem – chciałbym tu szukać przede wszystkim oddolnych, odspołecznych przyczyn tego procesu.

Próbując wyjaśnić ów proces w kategoriach socjologicznych, z pewnością zdecydowanie najłatwiej przyjdzie nam zgodzić się z tezą, iż mamy do czynienia z narastającą falą prywatyzmu i ekspansywnego indywidualizmu, która jest z jednej strony konsekwencją samego faktu powstania *prawdziwego rynku* (oznaczającego dla jednostek szansę zabiegania o dobra i o zasoby całkowicie nieosiągalne w czasach realnego socjalizmu), z drugiej zaś – wzbiera również dlatego, że Polacy (przynajmniej ci starsi, czyli wystarczająco dobrze pamiętający czasy PRL-u) usiłują/próbują odreagować wieloletni okres przymuszania do orientacji kolektywistycznej. Można by powiedzieć, że Polacy odrabiają dziś spóźnioną lekcję z partykularnego liberalizmu lub że przechodzą dziecięcą chorobę partykularnego liberalizmu.

Taka interpretacja przyczyn oddolnego demontażu idei wspólnego dobra, sytuująca te przyczyny w społecznym doświadczeniu PRL-u, a później w społecznym doświadczeniu transformacji i ładu potransformacyjnego, jest oczywiście dopuszczalna. Co więcej, sprawia ona wrażenie dość spójnej i przekonującej. Ja sam wolałbym jednak w tym miejscu szukać innych wyjaśnień. Zaryzykowałbym mianowicie opinię, że oddolny demontaż idei wspólnego dobra jest dzisiaj w Polsce przede wszystkim konsekwencją wymuszonego adaptowania się jednostek (i całych grup społecznych) do zaskakującej i nowej dla nich sytuacji, jaką jest wspomniane już wycofywanie się państwa ze znacznej części zobowiązań socjalnych. Narastająca świadomość, że *nie można* liczyć na realne, efektywne wsparcie ze strony coraz słabszego państwa oraz że to słabnące państwo stara się ratować resztki swojego władztwa za pomocą coraz bardziej uciążliwego fiskalizmu (i coraz bardziej rozbudowanej kontroli administracyjnej), pociąga za sobą szereg istotnych i głębokich zmian w sposobach definiowania przez jednostki roli obywatela, w sposobach określania przez nie własnych zobowiązań wobec zbiorowości oraz w sposobach konstruowania codziennych strategii radzenia sobie z rzeczywistością.

Pozwolę sobie przytoczyć w tym miejscu kilka przykładów. Wydaje się, że mamy dziś w Polsce do czynienia z coraz bardziej widocznym zjawiskiem dobrowolnej ekskluzji (wykorzystuję tu określenie A. Giddensa⁴) protoklasy średniej. Fakt, że z roku na rok rośnie liczba Polaków, którzy czują się zmuszeni wyręczać państwo, kupując określone usługi (edukacyjne, medyczne, pielęgnacyjno-opiekuńcze, związane ze sferą bezpieczeństwa, z potrzebami informacyjnymi i kulturalnymi itd.) na wolnym rynku, oznacza, iż z roku na rok przybywa również jednostek funkcjonujących tak naprawdę *obok* państwa, w swoistych szczelinach systemowych. Jednostki te z pewnością czują się coraz słabiej związane z państwem, coraz mniej wobec niego zobowiązane i coraz

⁴ Zob. A. Giddens, *Trzecia droga. Odnowa socjaldemokracji*, Książka i Wiedza, Warszawa 1999, s. 92.

mniej współodpowiedzialne za realizację jego celów (w tym także takich jak zabieganie o odpowiednio wysoki stopień *spójności społecznej*). Ważnym przejawem i zarazem rezultatem tej słabnącej więzi z państwem jest szybko pogłębiający się kryzys lojalności fiskalnej: podatkowe roszczenia państwa, których to państwo nie umie lub nie może już usprawiedliwić żadnym pozytywnym i mogącym liczyć na poparcie społeczne programem *redystrybucji wyrównawczej*, odbierane są jako nieuzasadnione. W rezultacie nie tylko narasta dezaprobatą dla państwowego fiskalizmu, lecz również zwiększa się stopień społecznego przyzwolenia na wszelkie strategie *ogrywania* fiskusa⁵. Za jeszcze ważniejszą i spektakularną konsekwencję słabnącej identyfikacji z państwem i z jego celami uznać dziś można erozję lojalności międzygeneracyjnej i solidaryzmu społecznego⁶.

Po drugie, badacze i animatorzy społeczeństwa obywatelskiego z satysfakcją podkreślają, że przybywa w Polsce organizacji pozarządowych. To prawda, duża ich część ma jednak charakter wymuszony i stanowi raczej odpowiedź na złe funkcjonujące, katastrofalnie niesprawne państwo, niż jest wyrazem etosu społecznikowskiego. Co więcej, wiele (chyba coraz więcej) przykładów spontanicznej, obywatelskiej samoorganizacji to w rzeczywistości *wspólnoty negatywnego protestu*. Powstają one po to, by bronić społeczności lokalnych przed skutkami złych i nieprzemyślanych decyzji władzy administracyjnej, ale też często wyłącznie po to, by blokować rozwiązania, które są – co prawda – uzasadnione z punktu widzenia interesu ogólnospołecznego, lecz które jednocześnie godzą w czyjeś konkretne interesy.

I jeszcze jeden przykład. Edmund Wnuk-Lipiński napisał niedawno, że współczesne państwo (państwo doby globalizacji) nie potrzebuje już obywateli, lecz konsumentów⁷. Nawet jeśli to prawda, nigdzie nie jest powiedziane, że owe masy konsumentów, które nie czują się już zobowiązane do respektowania starych, tradycyjnych zobowiązań obywatelskich, muszą być jednocześnie pozbawione etyki konsumenckiej (nakazującej np. nie kupować podrabianych produktów, nie akceptować producentów, którzy produkują taniej tylko dlatego,

⁵ W języku doradców podatkowych funkcjonuje intrygujący idiom „tarcze podatkowe”. Dobrze oddaje on samą istotę nastawienia społecznego do podatków. Chodzi o to, by – nie łamiąc przepisów podatkowych – oddawać fiskusowi możliwie jak najmniejszą część własnych dochodów. Przede wszystkim jednak w idiom ten wszyta jest symptomatyczna diagnoza charakteru relacji między państwem fiskalnym a podatnikiem. Można traktować tę relację jako swoistą grę strategiczną, w której „stroną atakującą” jest państwo.

⁶ Jest to w Polsce w dalszym ciągu niemal temat tabu. Trudno jednak nie dostrzec symptomów owej erozji lojalności międzygeneracyjnej i solidaryzmu, przysłuchując się chociażby argumentom, jakie przywoływane są przy okazji sporów wokół postulatu wydłużenia wieku emerytalnego. Z punktu widzenia osób młodych, postulat ten traktowany jest dość często jako próba „przymknięcia” rynku pracy przed absolwentami. Inny przykład to tocząca się od pewnego czasu dyskusja na temat reformy KRUS. Świadczy ona o tym, że maskawiny przez szereg lat antagonizm wieś–miasto pogłębia się. „Miasto” coraz głośniej domaga się jednolitego systemu podatkowego i ubezpieczeniowego obejmującego wszystkich obywateli (zatem również rolników). Z kolei „wieś” próbuje przeciwstawić się takiemu myśleniu, wskazując na specyfikę produkcji rolnej oraz powołując się na *dług moralny*, jaki „Polska wiejska” ma do spłacenia ludności z terenów wiejskich (z tego choćby tytułu, że ta ostatnia poniosła niewspółmiernie duże koszty transformacji systemowej).

⁷ Zob. E. Wnuk-Lipiński, *Świat międzyepoki. Globalizacja – demokracja – państwo narodowe*, Wydawnictwo Znak, Instytut Studiów Politycznych PAN, Kraków 2004, s. 103-110.

że łamią przepisy ekologiczne bądź prawa człowieka). Nadal jednak mocno rozbudzone aspiracje konsumpcyjne społeczeństwa polskiego połączone z jego wciąż relatywnie niską siłą nabywczą, skutkują egoizacją oraz głęboko społecznym charakterem strategii klienckich, polegającymi na tym, że dominuje w nich myślenie w kategoriach *racjonalności zyskującego konsumenta*, a nie w kategoriach *racjonalności zyskującego obywatela*. W ten sposób społeczeństwo nasze przekreśla jeszcze jeden wymiar solidarności. Ponownie ujawnia się jako suma jednostek, które dążąc do osiągnięcia indywidualnych korzyści, nie przejmują się ich cudzymi (i naszymi wspólnymi) kosztami.

III. TĘSKNOTA ZA „NIEKAPITALISTYCZNYM KAPITALIZMEM”

Cały czas obecna jest w transformującej się i w potransformacyjnej Polsce tendencja polegająca na sięganiu po wszelkie pozarynkowe bądź quasi-rynkowe narzędzia oraz strategie adaptacyjne. Tendencja ta jest dzisiaj równoznaczna nie tyle już nawet z „chęcią dalszego życia w socjalizmie po jego obaleniu”⁸, ile z rozmaitymi – mniej lub bardziej pomysłowymi, lepiej bądź gorzej usankcjonowanymi prawnie i mniej lub bardziej zideologizowanymi – dążeniami do sytuowania się w *szczelinach* kapitalizmu, w jego nie-do-końca-rynkowych lub zgłębia nierynkowych enklawach.

Dobłą ilustracją tęsknoty za „niekapitalistycznym kapitalizmem” może być zjawisko samoorganizowania się coraz to nowych grup społeczno-zawodowych w celu podejmowania działań wpisujących się w logikę roszczeniowości uprzywilejowanych. Dyżurnym przykładem socjologów mogą tu być w dalszym ciągu rozmaite grupy zawodowe, które (tak jak górnicy, rolnicy, nauczyciele, pielęgniarki, lekarze, ostatnio zaś np. rybacy dalekomorscy i kolejarze) dążą do utrzymania (bądź do uzyskania) różnych przywilejów branżowych i które uzasadniają swoje socjalno-finansowe żądania *wyjątkowością* własnej sytuacji zawodowej. Retorykę roszczeniowości uprzywilejowanych przejmują też coraz częściej np. wchodzący na rynek pracy absolwenci (domagający się od państwa czegoś w rodzaju „pakietu startowego”), ludzie kultury i nauki (domagający się „miękkiego finansowania” ich działalności i uzasadniający to oczekiwanie koniecznością przeciwstawienia się nadmiernemu utowarowieniu stosunków społecznych⁹), a nawet początkujący przedsiębiorcy (domagający się ulg i specjalnych ułatwień, które mają być nagrodą za decyzję o podjęciu pracy na własny rachunek). We wszystkich wspomnianych przypadkach przywilejem ma być przynajmniej częściowe wyłączenie z rynkowo-efektywnościowej logiki wynagradzania lub przynajmniej częściowa osłona przed rynkiem.

⁸ Zob. E. Mokrzycki, *Dziedzictwo realnego socjalizmu, interesy grupowe i poszukiwanie nowej utopii*, „Kultura i Społeczeństwo” 1991, nr 1.

⁹ Więcej na temat samego zjawiska utowarowienia oraz na temat jego najbardziej charakterystycznych przejawów we współczesnym społeczeństwie polskim – zob. M. Ziółkowski, *Utowarowienie stosunków społecznych a rozchwianie systemów wartości we współczesnej Polsce*, „Kultura i Społeczeństwo” 2004, nr 2.

Zaryzykowałbym opinię, że tęsknota za „niekapitalistycznym kapitalizmem” znamionuje również coraz liczniejsze grono jednostek, które próbują być nie tyle beneficjentami budżetu państwa, ile beneficjentami „brukselskiej racjonalności administracyjno-biurokratycznej” (np. niektórzy *zawodowi* animatorzy społeczeństwa obywatelskiego¹⁰, wielu samorządowców, artystów i naukowców zależnych od unijnych grantów). Gwarantuje ona w wielu przypadkach dokładnie to samo, co niegdysiejsza zasada uznaniowego rozdawnictwa: dostęp do pieniędzy, których wydatkowanie nie podlega ocenom opartym na twardych kryteriach rynkowo-efektywnościowych. Paradoksalnie – gęstniejące powiązania naszego kraju z instytucjami Unii Europejskiej skutkują rosnącą liczbą „uciekierów z rynku”, którzy funkcjonując dzięki funduszom z programów unijnych, nie muszą obawiać się bezwzględności i jednoznacznego zweryfikowania własnej produktywności. Muszą natomiast oczywiście obawiać się (i obawiają się) weryfikacji dokonywanych na podstawie kryteriów administracyjno-biurokratycznych. W rezultacie ich *przedsiębiorczość* nakierowana jest przede wszystkim na możliwie skuteczną adaptację do reguł konstruowanego i nadzorowanego przez instytucje unijne porządku organizacyjnego, który jednak w najlepszym razie powołuje do życia quasi-rynki¹¹ i który bardzo często zasada się na *wymuszaniu konformizmu*.

Chyba najważniejszą i zarazem najgłębszą konsekwencją pewnego syndromu myślenia, który nazywam tu tęsknotą za „niekapitalistycznym kapitalizmem”, jest wybitnie ambiwalentne nastawienie znacznej części Polaków do pieniędzy. Z jednej strony, liczne przeprowadzone w Polsce badania dowodzą, że świadomość jednostek jest silnie zmonetaryzowana¹², pieniądze okazują się też jednym z najważniejszych regulatorów podejmowanych przez jednostki działań. Pieniądze są również – praktycznie powszechnie – postrzegane jako zgeneralizo-

¹⁰ W piśmiennictwie socjologicznym pojawił się stosunkowo niedawno termin QUANGO. Mianem tym określane są organizacje pozarządowe, które – skrywając się na organizacji pożytku publicznego – dążą do osiągnięcia *par excellence* partykularnych celów. Skrajna postać organizacji pozarządowych typu QUANGO to niewątpliwie organizacje, które w sprytny sposób przechwytyują i „prywatyzują” pieniądze publiczne. Mianem QUANGO można również określić niektóre organizacje pozarządowe, którym udało się zbudować dobrze rozpoznawalną markę i które zbliżyły się, w trybach swojego funkcjonowania, do zwykłych, komercyjnych przedsiębiorstw, oraz te organizacje NGO, których powstania nie zainspirowały potrzeby społeczne, ale *sama możliwość uzyskania jakiegos wsparcia finansowego z zewnątrz* (od państwa, instytucji unijnych, fundacji charytatywnych itp.).

¹¹ Dobrym przykładem takiego unijnego quasi-rynku jest program pod nazwą Europejski Fundusz Społeczny. Zarówno jego pośredni i bezpośredni beneficjanci, jak i wszystkie podmioty, które chcą w nim uczestniczyć – np. w charakterze „dostawców” określonego typu usług edukacyjno-szkoleniowych, w charakterze operatorów unijnych pieniędzy, w charakterze wykonawców usług badawczo-doradczych itd. – muszą tu *rywalizować z sobą o unijne pieniądze* (np. sporządzając odpowiednio wnioski akcesyjne lub biorąc udział w przetargach organizowanych w zgodzie z zapisami ustawy o zamówieniach publicznych). Jednocześnie jednak praktycznie wszystkie parametry tej rywalizacji (i większość kryteriów mających służyć wylanianiu jej zwycięzców) określone są arbitralnie. Co więcej, podstawę tych arbitralnych postanowień stanowią zazwyczaj przyjęte przez Brukselę cele społeczno-polityczne. Oczywiście, samo założenie jest poprawne i trudno mu cokolwiek zarzucić, ostatecznie bowiem jego celem jest subwencjonowanie i aktywne wspieranie procesu cywilizacyjnego uspołniania poszerzonego obszaru Unii Europejskiej. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że skala zbiurokratyzowania i *deekonomizacji* tego procesu zaszła zbyt daleko i że skutkuje to (już dziś) nie tylko potężnym marnotrawstwem środków finansowych, lecz również pociąga za sobą – w średniej i dłuższej perspektywie – spadek konkurencyjności Unii Europejskiej w skali globalnej.

¹² Zob. M. Ziółkowski, op. cit.

wany środek wymiany (za pieniądze można kupić w zasadzie wszystko i od każdego), jako miara pozycji społecznej i – co być może w tym miejscu najistotniejsze – jako najważniejszy czynnik motywujący do aktywności (rynkowej, obywatelskiej, politycznej itd.). Z drugiej jednak strony pieniądze są traktowane jako swoisty stygmat i jako źródło zagrożeń. Funkcjonują one w powszechnej świadomości raczej jako *problem* (trzeba jakoś uporać się z brakiem lub niedostateczną ilością pieniędzy, trzeba „pilnować się, aby nie zepsuły one charakteru” itd.), niż jako *źródło możliwości*. Paradoksalnie, indywidualne i grupowe doświadczenia związane z funkcjonowaniem w ramach instytucjonalnych „realnego kapitalizmu” sprawiają, że myślenie o pieniądzach staje się coraz bardziej socjalne i coraz mniej *rynkowe*¹³.

IV. SPOŁECZEŃSTWO WCIAŁ BARDZIEJ TAKTYCZNE NIŻ STRATEGICZNE W SWOICH SPOSOBACH RADZENIA SOBIE Z RZECZYWISTOŚCIĄ

Socjologowie dość zgodnie twierdzą, że społeczeństwo polskie jest dzisiaj – w porównaniu z okresem sprzed 1989 r. – znacznie mniej wciśnięte w „tu i teraz”, za to znacznie bardziej *antycypujące* i *planujące*¹⁴. To prawda. Perspektywa temporalna strategii inwestycyjnych i strategii adaptacyjnych Polaków istotnie uległa, wraz z nastaniem „realnego kapitalizmu”, znacznemu wydłużeniu. Przestaliśmy być – jako społeczeństwo – zbiorowiskiem jednostek żyjących z dnia na dzień, stajemy się w coraz większym stopniu społeczeństwem próbującym „kolonizować przyszłość” w rozumieniu, jakie nadał temu sformułowaniu A. Giddens¹⁵.

Ale prawdą jest również to, że całe segmenty społeczeństwa polskiego odznaczają się w dalszym ciągu – by przywołać w tym miejscu rozróżnienie M. de Certeau – raczej *taktycznością* niż *strategicznością* sposobów radzenia sobie z rzeczywistością¹⁶. Stwierdzenie to nie jest jedynie publicystyczną

¹³ Więcej na temat owej ambiwalencji w nastawieniu współczesnych Polaków do pieniędzy oraz o zjawisku, które można by określić mianem „nieciągłej” lub „niespójnej monetaryzacji świadomości społecznej”, zob. A. Figiel, *Pieniądze – cichy bohater*, w: *Wyobrażenia społeczna. Horyzonty – źródła – dynamika*, red. R. Drozdowski, M. Krajewski, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2008, s. 417-427, oraz R. Drozdowski, M. Krajewski, „Zakończenie”, w: *ibidem*, s. 621.

¹⁴ Por. E. Tarkowska, *Polacy wobec przyszłości i przeszłości. Czas społeczny w okresie realnego socjalizmu i w okresie transformacji*, w: *Idee a urządzenie świata społecznego*, red. E. Nowicka, M. Chałubiński, PWN, Warszawa 1999; zob. również R. Drozdowski, M. Ziolkowski, *Funkcjonowanie kapitałów kulturowego i społecznego w dobie pragmatyzacji świadomości społecznej*, „Przegląd Socjologiczny” 1999, nr 2.

¹⁵ Zob. A. Giddens, *Nowoczesność i tożsamość. ‘Ja’ i społeczeństwo w epoce późnej nowoczesności*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2001, s. 199.

¹⁶ W ujęciu M. de Certeau (zob. *idem*, *Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2008, s. 35-39), *taktyczność* sposobów radzenia sobie z rzeczywistością wynika przede wszystkim z konieczności działania na „cudzym terenie”, w granicach którego obowiązują narzucone relacje władzy oraz narzucone reguły gry. To właśnie dlatego taktyki przypominają, jak pisze M. de Certeau, polowanie na okazje. I to dlatego wywalczone dzięki działaniom taktycznym zasoby muszą być praktycznie natychmiastowo przejadane, zużywane: skazane na taktyki jednostki, nie dysponując żadnym w pełni własnym miejscem, są pozbawione szans na ich przechowanie

intuicją. Znajduje ono swoje potwierdzenie w licznych badaniach empirycznych i w jeszcze liczniejszych sprawozdaniach statystycznych. Jeśli aż 56% Polaków nie posiada dziś żadnych oszczędności¹⁷, świadczy to nie tylko o wciąż relatywnie niskiej zamożności społeczeństwa polskiego, lecz również o tym, że znaczna jego część woli na bieżąco konsumować swoje dochody, niż je inwestować. Jeśli z badań na temat horyzontów adaptacyjnej wyobraźni współczesnych Polaków wynika, że dominującym stylem adaptacyjnym jest w dalszym ciągu raczej wyczekiwanie na wyjątkowe szanse i okazje, niż ich aktywne wyszukiwanie bądź „prowokowanie”¹⁸, znaczy to, iż owa – zdawałoby się – już dawno nieaktualna wizja społeczeństwa polskiego, które czuje się zmuszone żyć z dnia na dzień, nie jest aż tak bardzo zdezaktualizowana. Jeśli nadal przeważa w społeczeństwie polskim taki rodzaj strategii adaptacyjnych, który można określić mianem *obronnych* (gdyż nie są one konstruowane ani pod wpływem *pozytywnych kalkulacji*, ani w rezultacie zaufania do nowego porządku instytucjonalnego, lecz w odpowiedzi na takie czy inne, tak bądź inaczej nazwane zagrożenia zewnętrzne), wolno powiedzieć, że Polacy wciąż bardziej reagują na otaczający ich (i często traktowany przez nich jako zadany im) porządek, niż go aktywnie współtworzą.

Zakładając, że diagnoza powyższa jest prawidłowa, warto nie tyle już szukać kolejnych przykładów mających na różne sposoby potwierdzać jej prawdziwość, ile raczej dopytywać się o głębsze, strukturalne przyczyny takiego stanu rzeczy.

Wydaje mi się, że najistotniejszą z tych przyczyn jest poczucie permanentnego zagrożenia degradacją materialną (i co za tym idzie: statusową), będące nadal udziałem znacznej części społeczeństwa polskiego¹⁹. Jakkolwiek sarkastycznie by to zabrzmiało, można powiedzieć, że jednostki czujące się zagrożone (słusznie czy nie, to zupełnie inna sprawa) społeczno-ekonomiczną marginalizacją lub wręcz społeczno-ekonomicznym wykluczeniem zachowują się *bardziej racjonalnie* wówczas, gdy upodabniają się do Certeausowskich kłusowników, i wówczas, gdy decydują się dyskontować nadarzające się okazje *od razu*, niż wówczas, gdyby myślały one i działały w jakiejś długofalowej logice, gdyby decydowały się na odraczanie gratyfikacji, które trafiły się im tu i teraz.

i na racjonalne nimi zarządzanie. Z kolei *strategiczność* praktyk adaptacyjnych wynikać miałyby u M. de Certeau z przewag, jakie daje własny *locus*. Przestrzenią dla strategii nie jest już przestrzeń *innego*, lecz przestrzeń własna.

¹⁷ Podaję tę liczbę za internetowym wydaniem dziennika „Rzeczpospolita” (RP.pl, na: http://www.rp.pl/artykul/223122_Kryzys_finansowy_uderza_w_oszczednosci_Polakow_html [12.12.2008]).

¹⁸ Więcej na ten temat, zob. np. R. Drozdowski, *Dominujące modusy działania*, w: *Wyobraźnia społeczna...*, s. 575-613; M. Krajewski, *Motywy przewodnie i przedmioty*, w: *Wyobraźnia społeczna...*, s. 521-556.

¹⁹ Więcej na temat obrazu, przyczyn i społecznego rozkładu ubóstwa zob. np. L. Beskid, *Oblicze ubóstwa w Polsce*, w: *Zmiany w życiu Polaków w gospodarce rynkowej*, red. L. Beskid, IFiS PAN, Warszawa 1999; M. Jarosz, *Władza, przywileje, korupcja*, Wydawnictwo Naukowe PAN, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 2004, s. 116-160; K. Słomczyński, K. Janicka, *Dychotomie w strukturze społecznej: o efekcie świętego Mateusza i pogłębiających się nierównościach społecznych*, w: *Co nas łączy, co nas dzieli?*, red. J. Mucha, E. Narkiewicz-Niedbalec, M. Zielińska, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2008, s. 123-137; E. Tarkowska, *Co wiemy i czego nie wiemy o polskiej biedzie?* w: *Co nas łączy...*, s. 139-165.

Po drugie – w tym miejscu będę trochę niekonsekwentny wobec przyjętego przeze mnie założenia, że będę tu pisał raczej o „winach społeczeństwa” niż o „winach systemu” – wydaje mi się, iż duża część społeczeństwa polskiego została w pewnym sensie *wepchnięta* w taktyczne strategie radzenia sobie z rzeczywistością przez kolejne ekipy rządzące, które po 1989 r. nie zaoferowały stronie społecznej żadnego rozsądnego programu uwłaszczeniowego ani żadnego rozsądnego programu reprivatyzacji²⁰. Jakkolwiek trywialnie by to zabrzmiało, długofalowa perspektywa temporalna planów i projektów adaptacyjnych wymaga wkorzenia – patrząc nieco cynicznie – nawet *wmanewrowania* jednostek w realną własność.

Po trzecie – sądzić można, że ów nadal bardziej taktyczny niż strategiczny charakter strategii dostosowawczych Polaków wynika w dużej mierze z niskiego poziomu wzajemnego zaufania jednostek²¹ i w jeszcze większym stopniu z faktu, iż tworzone przez nie sieci kooperacji odznaczają się niskim stopniem złożoności. W dalszym ciągu bowiem w ich skład wchodzi najczęściej *wyłącznie* członkowie rodziny, ewentualnie dobrzy, sprawdzeni znajomi (to oczywiście rezultat deficytu zaufania i szerzej: rezultat niskiego poziomu kapitału społecznego)²². Co to oznacza w praktyce? Przede wszystkim to, że dla sporej części społeczeństwa polskiego wszelkiego typu transakcje i epizody współpracy, w których stroną mają być/ są jacykolwiek *nie-najbliżsi*, mogą przybierać postać gry o sumie zerowej. Owych *nie-najbliższych* można w zasadzie traktować jako *potencjalnych frajerów*, można *ustawiać się* wobec nich jako ich łupieżca. Można tak postępować (i poniekąd *opłaca się* tak postępować), gdyż w obliczu niewielkiej rozległości i gęstości większości sieci współpracy i większości sieci wymiany oraz ze względu na ich nietrwałość prawdopodobieństwo powtórnego spotkania kooperantów jest niewielkie. Można tak i *opłaca się* tak postępować także dlatego, że ewentualne sankcje (społeczne czy prawne) z tytułu jakkolwiek pojętej nierzetelności transakcyjnej wydają się w społeczeństwie polskim – jak dotąd – bardzo trudne do wyegzekwowania²³.

²⁰ Gwoli ścisłości należałoby w tym miejscu przypomnieć, że Polska *mogła* mieć rozsądną i kompromisową ustawę reprivatyzacyjną, przewidującą zwrot pokrzywdzonym w przeszłości właścicielom lub ich spadkobiercom do 50% utraconej własności (w naturze lub w formie odszkodowań), lecz ustawa ta została w marcu 2001 r. zawetowana przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Sejmowi nie udało się odrzucić prezydenckiego weta. Tym samym nasz kraj okazał się państwem, które nie potrafi znaleźć w sobie wystarczającej determinacji, aby budując gospodarkę rynkową, jednocześnie w stanowczy sposób bronić własności.

²¹ Do tematu zaufania i kapitału społecznego wraca co jakiś czas w swoich sondażach CBOS (zob. np. CBOS, *W kręgu rodziny i przyjaciół. Komunikat z badań*, Warszawa 2004; CBOS, *Jacy jesteśmy? Zaufanie do ludzi i gotowość do współpracy. Komunikat z badań*, Warszawa 2002). Oczywiście, temat ten znajduje się także od lat w centrum uwagi wielu zespołów badawczych, które dążą do skonstruowania na podstawie prowadzonych przez siebie badań empirycznych *ogólniejszej teorii zaufania*, pozwalającej m.in. uchwycić jego społeczno-kulturowe, polityczne oraz ekonomiczne uwarunkowania i starającej się traktować poziom zaufania jako jedną z kluczowych zmiennych wyjaśniających stopień integracji społeczeństwa (zob. np. A. Kubiak, A. Miszańska, *Czy nowa próżnia społeczna, czyli o stanie więzi społecznej w III Rzeczypospolitej*, „Kultura i Społeczeństwo” 2004, nr 2, s. 19-43).

²² Zob. R. Drozdowski, M. Krajewski, „Zakończenie”, s. 619-620.

²³ Wolno więc stwierdzić, że w Polsce cały czas dość słabo działa „prawo Eliasa” (por. N. Elias, *Przemiany obyczajów w cywilizacji Zachodu*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980), zgodnie z którym przemiany społeczno-kulturowe idące w stronę coraz większego uładzenia obyczajów wpisanych w ramy codzienności i coraz większej samopowściągliwości, podyktowane są w znacznym stopniu pewnym

V. SPOŁECZEŃSTWO (NIE)WIEDZY

Zainicjowana przez rząd Jerzego Buzka reforma systemu edukacyjnego miała – zgodnie z założeniami jej architektów – doprowadzić do wyrównania poziomu nauczania w polskich szkołach, do zobiektywizowania pomiaru dydaktycznego (dzięki wprowadzeniu tzw. egzaminów zewnętrznych), a w ostatecznym rozrachunku do wzrostu liczby uprawnionych do studiowania. Patrząc z perspektywy lat, jakie upłynęły od wprowadzenia w życie AWS-owskiej reformy oświatowej, stwierdzić trzeba, że jej cele zostały przynajmniej po części osiągnięte²⁴. Zarazem jednak przynajmniej dwa rezultaty wspomnianej reformy wydają się na tyle wątpliwe, że zdaniem wielu należy ją uznać – *summa summarum* – za porażkę.

Po pierwsze, można już chyba powiedzieć, że pomysł wprowadzenia tzw. liceów profilowanych okazał się chybiony. Miały one zapewnić szerszy dostęp do matury i studiów. W rzeczywistości jednak ze statystyk publikowanych rokrocznie przez Centralną Komisję Egzaminacyjną²⁵ wynika, iż uczniowie uczęszczający do liceów profilowanych decydują się na zdawanie matury rzadziej niż uczniowie „starych liceów” i – co ważniejsze – jeśli już do niej podchodzą, zdają ją znacznie gorzej niż ci ostatni. Licea profilowane zaczynają tym samym funkcjonować jako „boczna ścieżka edukacyjna”. Z jednej strony, można mieć nadzieję, że ich „edukacyjna wartość dodana” polega na przyczynianiu się do wzrostu aspiracji edukacyjnych młodzieży, która pobiera w nich naukę. Ale z drugiej strony, wiele wskazuje na to, że znaczną część absolwentów liceów profilowanych cechuje *syndrom podwójnej nieidentyfikacji*. Nie identyfikują się oni (już) z *etosem dobrze wykwalifikowanego fachowca*, mogącego zaoferować na rynku pracy konkretne i poszukiwane umiejętności. Nie identyfikują się jednak również (tym razem – jeszcze) z żadną odmianą *etosu inteligentnego*. Nawet jeśli stosunkowo spory odsetek absolwentów liceów profilowanych trafia dziś ostatecznie na uczelnie, są to przeważnie uczelnie niepubliczne (ze słabo zdaną maturą licealiści nie mają szans dostać się na studia bezpłatne) oraz uczelnie, które oferują kształcenie wyłącznie na poziomie studiów licencjackich. Jeśli na dodatek ich wybór padł na któryś z (niestety, coraz liczniejszych) kierunków kształcących *niepotrzebnych*

szczególным i ściśle powiązany z rozwojem kapitalizmu typem kalkulacji, który nakazuje jednostkom odnosić się do siebie w sposób nieprzekreślający szans na ich ewentualną przyszłą współpracę. O tym, że strategia niepalenia mostów oraz dążenia do tego, aby – tak długo, jak to możliwe – postrzegać się raczej jako (mogący się sobie kiedyś przydać) sojusznicy, z dużym trudem ukorzenia się w mentalności społeczeństwa polskiego, świadczyć mogą chociażby dane na temat rozmiarów szarej strefy, która z natury rzeczy sprzyja okazjonalnym i nieekwiwalentnym transakcjom. Według różnych szacunków wielkość polskiej szarej strefy waha się między 13 a 27% produktu krajowego brutto; poza tym potwierdzają to dane dotyczące liczby i struktury tzw. drobnych przestępstw gospodarczych; więcej na ten temat – zob. np. raport PricewaterhouseCoopers pt. *Badanie przestępczości gospodarczej 2005*, dostępny m.in. na portalu eGospodarka.pl: <http://www.egospodarka.pl/12170>, *Przestępstwa-gospodarcze-raport-2005*, 1,39,1.html.

²⁴ Trudno np. nie zgodzić się z tym, że reforma oświatowa, wprowadzając egzaminy zewnętrzne, wymusza ujednoczenie standardów nauczania.

²⁵ Wspomniane statystyki są dostępne na stronie internetowej Centralnej Komisji Egzaminacyjnej: <http://www.cke.edu.pl>.

specjalistów (specjalistów, dla których zaczyna brakować miejsca na rynku pracy), prawdopodobieństwo, że poczyniona przez nich inwestycja edukacyjna nigdy się im nie zwróci, jest bardzo duże.

Po drugie, AWS-owska reforma oświatowa, pogrążając w kryzysie tradycyjne szkolnictwo zawodowe, zakłóciła dopływ na rynek pracy średnio wykwalifikowanej siły roboczej.

Jeszcze więcej wątpliwości może wzbudzać sytuacja w polskim szkolnictwie wyższym. W roku akademickim 2005/2006 w szkołach wyższych wszystkich typów kształciło się 1953 tys. studentów. Dla porównania – w roku akademickim 1990/1991 studiowało w Polsce nieco ponad 403 tys. osób²⁶. Nic dziwnego, że progresja tzw. współczynnika skolaryzacji netto²⁷ przedstawia się w naszym kraju imponująco. Wspomniany wskaźnik przyjmował w roku akademickim 1990/1991 wartość 9,8%, natomiast w roku akademickim 2005/2006 jego wartość przekraczała już poziom 38%. Równie imponująco prezentują się dane statystyczne dotyczące wzrostu liczby szkół wyższych. U progu transformacji było ich niewiele ponad 100, tymczasem zaś w roku 2005 – już 427 (z czego aż 301 to uczelnie niepubliczne).

Jednak uważniejsze wejrzenie w statystyki dotyczące polskiego szkolnictwa wyższego nakazuje traktować je z ostrożnością. Tylko nieco mniej niż połowa studentów (dokładnie: 47,9%) studiuje na studiach dziennych. Reszta to studenci studiów niestacjonarnych, które oczywiście nie zawsze i nie wszędzie kształcą gorzej, lecz które mają – niestety, raczej zasłużoną – opinię *kształcących na skrót*²⁸. Inna wątpliwość: w roku akademickim 1990/1991 wśród 56 tys. absolwentów szkół wyższych absolwenci kierunków inżyniersko-technicznych stanowili 16,5%, absolwenci kierunków ekonomicznych i administracyjnych – 14,8%, natomiast absolwenci kierunków humanistycznych – 10,9%. Z kolei w roku akademickim 2003/2004 absolwenci kierunków inżyniersko-technicznych stanowili już tylko 5,7% ogółu kończących studia, za to absolwenci kierunków ekonomicznych i administracyjnych – aż 34,4%, natomiast absolwenci kierunków humanistycznych – 14,5%. Widać więc wyraźnie, że wybory polskich studentów dotyczące kierunków studiowania idą „pod prąd” np. założeniom Strategii lizbońskiej, która stara się „wymusić” wzrost liczby studiujących na kierunkach ścisłych, albowiem to przede wszystkim oni są naturalnym zapleczem kadrowym dla *new economy*, traktowanej dziś jako najważniejsze pole globalnej konkurencji. I jeszcze jedna wątpliwość: spośród ponad 300 niepaństwowych uczelni wyższych tylko około jedna czwarta posiada uprawnienia do prowadzenia studiów magisterskich. Reszta zadowala się kształceniem na poziomie licencjackim (który jednakże zaczyna powoli funkcjonować w świadomości pracodawców jako odpowiednik średniego wykształcenia).

²⁶ Wszystkie przytoczone w tym akapicie dane liczbowe podaję za portalem: Studencka Marka: <http://www.studenckamarka.pl/serwis.php?s=73&pok> (11.12.2008).

²⁷ Współczynnik skolaryzacji netto to procentowy stosunek liczby studentów do całej populacji osób w przedziale wiekowym zawierającym się pomiędzy wiekiem maturalnym a wiekiem, w którym jednostki podążające „standardową ścieżką edukacyjną” powinny kończyć studia wyższe.

²⁸ Wystarczy wspomnieć, że zgodnie z wytycznymi Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, wymiar studiów niestacjonarnych musi wynosić (tylko) nie mniej, niż 60% wymiaru studiów dziennych.

Spróbujmy wszystkie te dane krótko podsumować. Świetny wskaźnik skolaryzacji netto może cieszyć chyba tylko statystyków. Znając bowiem jego genezę i jego głębsze uwarunkowania, należałoby raczej powiedzieć, że mamy już w Polsce do czynienia ze zjawiskiem „inflacji dyplomów”. Co gorsze, z roku na rok rosnąca liczba absolwentów uzyskujących jedynie tytuł licencjata lub/i kończących kierunki, po których trudno znaleźć pracę, oznacza nie tylko to, że gospodarka polska nie otrzymuje od uczelni kadr, na które rzeczywiście czeka, lecz także to, że najprawdopodobniej lawinowo wzrasta liczebność jednostek mających poczucie, iż kształcenie, przynajmniej w ich przypadku, okazało się nieopłacalne i nie przysporzyło im ono żadnych istotnych *społecznych ani ekonomicznych przewag*, za to naraziło na różnorodne koszty.

Są także inne powody do niepokoju. Wzrost liczby uczelni podnosi niewątpliwie dostępność studiów, ale nie podnosi ani ich jakości, ani nie poprawia komfortu studiowania²⁹. W rezultacie na naszych oczach rozpada się nie tylko szacunek społeczny do (wyższego) wykształcenia, ale również szacunek społeczny do uczelni; coraz częściej są one postrzegane jako jeszcze jedna przestrzeń życia zbiorowego, która zdominowana jest przez czysty pragmatyzm i przez pęd ku utowarowieniu. Następną budząca niepokój kwestia to średnio- i długoterminowe konsekwencje rozproszenia polskiego szkolnictwa wyższego. Oczywiście znów można powiedzieć, że im więcej uczelni, tym większa dostępność studiów. Ale zarazem – tym mniejsze szanse na powstanie kilku lub kilkunastu naprawdę silnych ośrodków akademickich, będących w stanie nie tylko dobrze kształcić, lecz także prowadzić badania na najwyższym światowym poziomie. I na koniec jeszcze jedna uwaga: fakt, iż kształcenie na polskich uczelniach zostało – w znacznym stopniu – sprowadzone do formuły wyższych (i wąsko sprofilowanych) studiów zawodowych, skutkuje – w moim przekonaniu – „produkcją” absolwentów, którym będzie w przyszłości bardzo trudno w elastyczny sposób dopasowywać się do szybko zmieniających się potrzeb rynku pracy.

VI. ASPIRUJĄCE (NA KREDYT) SPOŁECZEŃSTWO

Jeśli przyjąć, nieco upraszczając, że ukorzenienie się w Polsce „realnego kapitalizmu” jest równoznaczne z przyswojeniem sobie przez większość społeczeństwa: 1) wzorów rynkowych, 2) wzorów obywatelskich wspierających

²⁹ Nie ma się co oszukiwać – praca na dwa lub nawet trzy etaty dydaktyczne (czyli codzienność tysięcy polskich pracowników naukowych) nie tylko odrywa ich od bieżącej pracy naukowo-badawczej i od aktywności publikacyjnej, lecz również uniemożliwia im w praktyce wystarczająco rzetelne wywiązywanie się z obowiązków dydaktycznych. Inna gorzka obserwacja: rosnąca liczba studentów przy relatywnie niewielkim wzroście kadry naukowej sprawia, że samodzielni pracownicy naukowci prowadzą rocznie kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu (!) magistrantów. Trudno w tej sytuacji (zwłaszcza na studiach niestacjonarnych, gdzie seminaria magisterskie odbywają się zazwyczaj raz na miesiąc lub raz na trzy tygodnie) wyzbyć się wrażenia, że nasz system kształcenia akademickiego zabrnął w ślepią uliczkę i że wszyscy mamy do czynienia z coraz większą grą pozorów. Uczelnie udają, że kształcą „po staremu”, tzn. z należytą troską o *indywidualny rozwój każdego studenta*, studenci zaś udają, że *naprawdę studiują* – tzn. interesuje ich coś więcej niż samo uzyskanie dyplomu.

porządek demokratyczny oraz 3) wzorów odnoszących się do „kapitalistycznego stylu życia”, należałoby powiedzieć, że zdecydowanie najłatwiej przyszła nam internalizacja tych ostatnich.

Rzeczywiście, można mieć wątpliwości, czy i w jakim stopniu Polacy oswoili się już z regułami gospodarki rynkowej³⁰. Ale wątpliwości budzić może – wbrew pozorom – także nasze współczesne nastawienie do demokracji. Z jednej strony, od dawna w znakomitej większości jesteśmy jej *werbalnymi zwolennikami*³¹. Z drugiej jednak, gros społeczeństwa polskiego źle znosi fakt, że procedury demokratyczne prowadzą w nieuchronny sposób do ujawniania się coraz to innych i coraz to nowych różnic i podziałów. Można niekiedy odnieść wrażenie, że Polacy w dalszym ciągu marzą o jedności moralno-politycznej społeczeństwa (tyle że osiąganey w warunkach społeczno-politycznej wolności) i że pojmują oni demokrację raczej jako wehikuł mający służyć osiągnięciu *wielkiej zbiorowej zgody*, niż jako permanentną konfrontację przeciwstawnych sobie racji. Jeszcze gorzej wypadamy – jako społeczeństwo i jako wspólnota polityczna – wówczas, gdy za miarę naszego przywiązania do demokracji uznane zostają tradycyjne wskaźniki uczestniczącej kultury politycznej (takie jak liczba instytucji społeczeństwa obywatelskiego, deklarowana gotowość do obywatelskiego nieposłuszeństwa lub frekwencja w wyborach). Nie sposób natomiast zakwestionować tego, iż Polacy szybko i dobrze *nauczyli się* estetyki (a właściwie estetyk kapitalizmu). W błyskawicznym tempie rozpoznali oni reguły „kapitalistycznej symboliki” nakazującej wnioskować o statusie społecznym jednostek na podstawie ich wzorów konsumpcji i oswojenie się społeczeństwa polskiego ze społeczno-kulturowym pluralizmem nastąpiło szybciej, niż można się było tego spodziewać.

Problem w tym, że ów nadspodziewanie dobrze i szybko zinternalizowany przez społeczeństwo polskie „kapitalistyczny styl życia” nie został jeszcze wystarczająco dobrze zharmonizowany z jego możliwościami ekonomicznymi. W rezultacie nasilają się dwie negatywne tendencje.

Po pierwsze, rośnie skala społecznej frustracji: z roku na rok zwiększa się liczebność Polaków, którzy czują się przegranymi transformacji i jej *outsiderami* – gdyż niezależnie od tego, czy i na ile *obiektywnie* poprawiła się ich sytuacja materialna, postrzegają się oni jako jednostki *wykluczane z udziału w prawdziwym dobrobycie* lub/i jednostki, które skazane są na *substytutową konsumpcję* (na swoiste oszukiwanie niskiej siły nabywczej, polegające na urzeczywistnianiu własnych aspiracji konsumpcyjnych na skrót – za pomocą *prosumpcji*, dzięki okazjom i wyprzedażom, dzięki zadowalaniu się podróbkami markowych produktów itd.).

Po drugie, wzrasta liczba Polaków, którzy zadłużają się ponad własne możliwości. Sformułowana przez Daniela Bella³² teza, iż współczesny

³⁰ Ponownie można by w tym miejscu przywoływać badania potwierdzające wyuczoną bezradność, pasywność adaptacyjną i roszczeniowość dużej części społeczeństwa polskiego, zob. np. A. Giza-Poleszczuk, M. Marody, A. Rychard, *Strategie i system. Polacy w obliczu zmiany społecznej*, Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2000.

³¹ Zob. np. M. Ziółkowski, B. Pawłowska, R. Drozdowski, *Jednostka wobec władzy*, Wydawnictwo Nakom, Poznań 1994, s. 70-80.

³² Zob. D. Bell, *Kulturowe sprzeczności kapitalizmu*, PWN, Warszawa 1994.

kapitalizm przestał być systemem opierającym się na odroczonej gratyfikacji, natomiast stał się systemem, w którym w niebezpieczny sposób zaczęły rozchodzić się (kreowane przez rynek) aspiracje i (realne) możliwości konsumpcyjne, znajduje w dzisiejszej Polsce swoje liczne ilustracje³³.

Jakie mogą być tego krótko- i średniofalowe konsekwencje? Jeśli Polska znajdzie się wkrótce w polu oddziaływania globalnego kryzysu gospodarczego (co w chwili, w której piszę te słowa, wydaje się niemal przesądzone), łatwo przewidzieć, że znacząco wzrośnie liczba i wartość zagrożonych kredytów (konsumpcyjnych, a zwłaszcza hipotecznych³⁴). Najprawdopodobniej, pociągnie to za sobą zupełnie nowy rodzaj frustracji społecznej, spowodowanej koniecznością rewizji aspiracji, które wydawały się już – nawet średnio radzącym sobie jednostkom – czymś *normalnym*.

Ale nawet jeśli – czego wszyscy sobie życzymy – światowy kryzys obejdzie się z Polską łagodniej niż z innymi krajami, to i tak otwarte pozostaje o wiele bardziej fundamentalne pytanie: czy sytuacja, w której podstawą identyfikacji statusowych znacznej części Polaków jest nie tylko (w jakiejś przynajmniej części) *falszowany* kapitał kulturowy, lecz również na swój sposób *falszowany* kapitał ekonomiczny, nie jest w praktyce równoznaczna z rozregulowaniem jasnych i czytelnych dla wszystkich reguł „gry społecznej”, czy nie prowadzi ona do zastąpienia realnego obrazu społeczeństwa jakimś zbiorem iluzji?

Obawiam się, że tak właśnie się dzieje. Setki tysięcy posiadaczy niewiele znaczących dyplomów akademickich i setki tysięcy kredytobiorców, którzy zamieszkali w wymarzonych przez siebie mieszkaniach i domach tylko dlatego, że banki uwierzyły w ich *trwałą* zdolność kredytową, mają poniekąd prawo uznać się za polską klasę średnią. Co to jednak zmienia, jeśli gros z nich *obiektywnie* sytuuje się w dalszym ciągu w szeregach polskiej protoklasy średniej (pytanie jeszcze jakiej – starej czy nowej?), a być może w szeregach jakiejś jeszcze innej zbiorowości, której istnienie intuicyjnie wyczuwamy, lecz dla której nie znaleźliśmy jeszcze – jako socjologowie – odpowiedniej nazwy? Zbiorowość ta, łącząc wybrane cechy starej i nowej klasy średniej (ale też wykazując wiele podobieństw np. do Couplandowskich *mcpracowników*, podejmujących się nisko płatnych i mało prestiżowych zajęć³⁵, lub do *postproletariatu* w rozumieniu, jakie nadał temu terminowi Paul Gottfried³⁶) wydaje się specyficznie polskim tworem, o którego kształcie rozstrzygają nie tylko 1) globalne tendencje społeczno-kulturowe i 2) stosunkowo nowe

³³ Według danych Biura Informacji Gospodarczej Info-Monitor, pomiędzy wrześniem 2007 a grudniem 2008 r. średnie zadłużenie Polaków wobec banków i innych podmiotów (np. spółdzielni mieszkaniowych, dostawców energii elektrycznej i gazu) zwiększyło się o 28% i osiągnęło kwotę 6425 zł. Z kolei, według NBP, łączne zadłużenie Polaków wobec banków wynosiło pod koniec 2008 r. ponad 300 mld zł (w tym 58 mld to pieniądze pożyczone za zakup nieruchomości). Narodowy Bank Polski podał również, że w grudniu 2008 r. zaległości osób prywatnych wobec banków przekroczyły kwotę 10 mld zł. Dla porównania – w 2005 r. łączna kwota zagrożonych kredytów wynosiła 8,3 mld zł.

³⁴ Jest to tym bardziej prawdopodobne, że w ostatnich dwóch-trzech latach banki oceniały aktualną, a zwłaszcza przyszłą zdolność kredytową kredytobiorców nadzwyczaj *życzliwie*. Zatem wielu z nich tak naprawdę *uzyskało swoje kredyty na kredyt*.

³⁵ Por. D. Coupland, *Pokolenie X*, Wydawnictwo Pruszyński i S-ka, Warszawa 2000.

³⁶ Zob. P. Gottfried, *The Strange Death of Marxism: The European Left in the New Millennium*, University of Missouri Press, 2005.

(i najnowsze) zbiorowe oraz indywidualne doświadczenia związane z transformacją, lecz chyba także 3) elementy mentalności mogące uchodzić za dziedzictwo PRL-u.

Na czyich więc barkach spoczywać będzie w najbliższych latach wysiłek dalszej modernizacji Polski? Raczej – już – nie na barkach starej klasy średniej, która wydaje się coraz gorzej dopasowana do reguł i do wyzwań współczesnego kapitalizmu³⁷. I raczej – jeszcze – nie na barkach nowej klasy średniej, owego kognitariatu, który – jak starałem się tu udowodnić – dopiero się formuje, napotykać zresztą liczne strukturalne bariery³⁸. Zatem na kim?

Jeśli rzeczywiście Polskę czeka w nadchodzących latach scenariusz oscylujący między prognozowanym przez autorów raportu *Narodowy Program Foresight – Polska 2020*³⁹ „scenariuszem twardych dostosowań” a „scenariuszem słabnącego rozwoju”, to powiedzieć trzeba, że jego najważniejszym wykonawcą będą najprawdopodobniej – właśnie – przedstawiciele owego silnie pod każdym względem zróżnicowanego segmentu społeczeństwa polskiego, który sytuuje się gdzieś pomiędzy starą i nową klasą średnią a „nowym proletariatem” (i w jakimś sensie, również pomiędzy „normalnym kapitalizmem” a „postsocjalizmem” i pomiędzy orientacją na autonomię a orientacją na podporządkowanie). Doprowadzić to może do „wycinkowej modernizacji”, w wyniku której liczyć będziemy mogli tylko na powstawanie *enklaw nowoczesności*, w dodatku najprawdopodobniej mało stabilnych i podporządkowanych rozmaitym partykularnym kalkulacjom.

Dr hab. Rafał Drozdowski

Prof. Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

POLAND – HALF-WAY BETWEEN THE FIRST AND THE SECOND MODERNISATION LEAP

Summary

The starting point for the discussion presented in the paper is an assumption that the first stage of the transformations of the political system in Poland (as a transition from “real socialism” to “real capitalism”) has practically come to an end. Poland is nevertheless facing another phase, in which not

³⁷ Więcej na ten temat, zob. R. Drozdowski, *Kontrowersje wokół klasy średniej w Polsce*, „Kultura i Społeczeństwo” 1998, nr 1.

³⁸ Z badań Henryka Domańskiego na temat merytokracji w Polsce wynika, że w naszym kraju, praktycznie nieprzerwanie od początku transformacji, zwiększa się liniowa zależność między liczbą lat nauki a osiąganymi dochodami. Można już zatem mówić – w przypadku społeczeństwa polskiego – o premii za wyższe wykształcenie. Równocześnie jednak, na co zwraca uwagę H. Domański, z roku na rok wzrasta odsetek absolwentów wyższych uczelni, którzy *nie wykonują typowo inteligenckich zawodów*. Oznacza to, że polski rynek pracy nie potrzebuje jeszcze aż tak wielu specjalistów lub (i) że duża część posiadaczy dyplomów ukończenia szkoły wyższej spełnia jedynie *formalne*, nie zaś merytoryczne kryteria *bycia specjalistą*. Więcej na temat tendencji merytokratycznych w Polsce, zob. H. Domański, *O ruchliwości społecznej w Polsce*, IFiS PAN, Warszawa 2004, zob. też idem, *Polska klasa średnia*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2002.

³⁹ Szerzej na temat programu *Narodowy Program Foresight – Polska 2020*, na oficjalnej stronie programu: <http://foresight.polska2020.pl/mis> (21.12.2008).

mere stabilisation of the newly implemented system, but securing Poland a place among the most developed countries will be at stake.

The author analyses barriers that are currently limiting the conditions for a successful "second modernisation leap". The main factors are: 1) growing privatism of individuals, crisis of the "common good" idea, and the generally low level of social capital; 2) spontaneous, bottom-up resistance to the market efficiency logic; 3) remarkable situationism and short-time perspective of many adjustment strategies; 4) substandard level of general education and poor education system, and 5) growing asymmetry between the aspirations of the consumer society, also with regards the social status, and inadequate means to satisfy them.

The paper ends with a question which segment of the society could undergo further modernisation. In the author's opinion it will neither be the old middle-class, that was left behind the main stream of the transformation, nor the new middle-class, still not very numerous and encountering various structural barriers to its development. It seems, therefore, that the burden of further modernisation will be put on the shoulders of the highly diversified and specifically Polish proto-middle class that combines selected features of the old and new middle class and the "post-proletariat". Consequently, further modernisation processes in Poland will be of an "enclave" character, selective and structurally inconsistent.